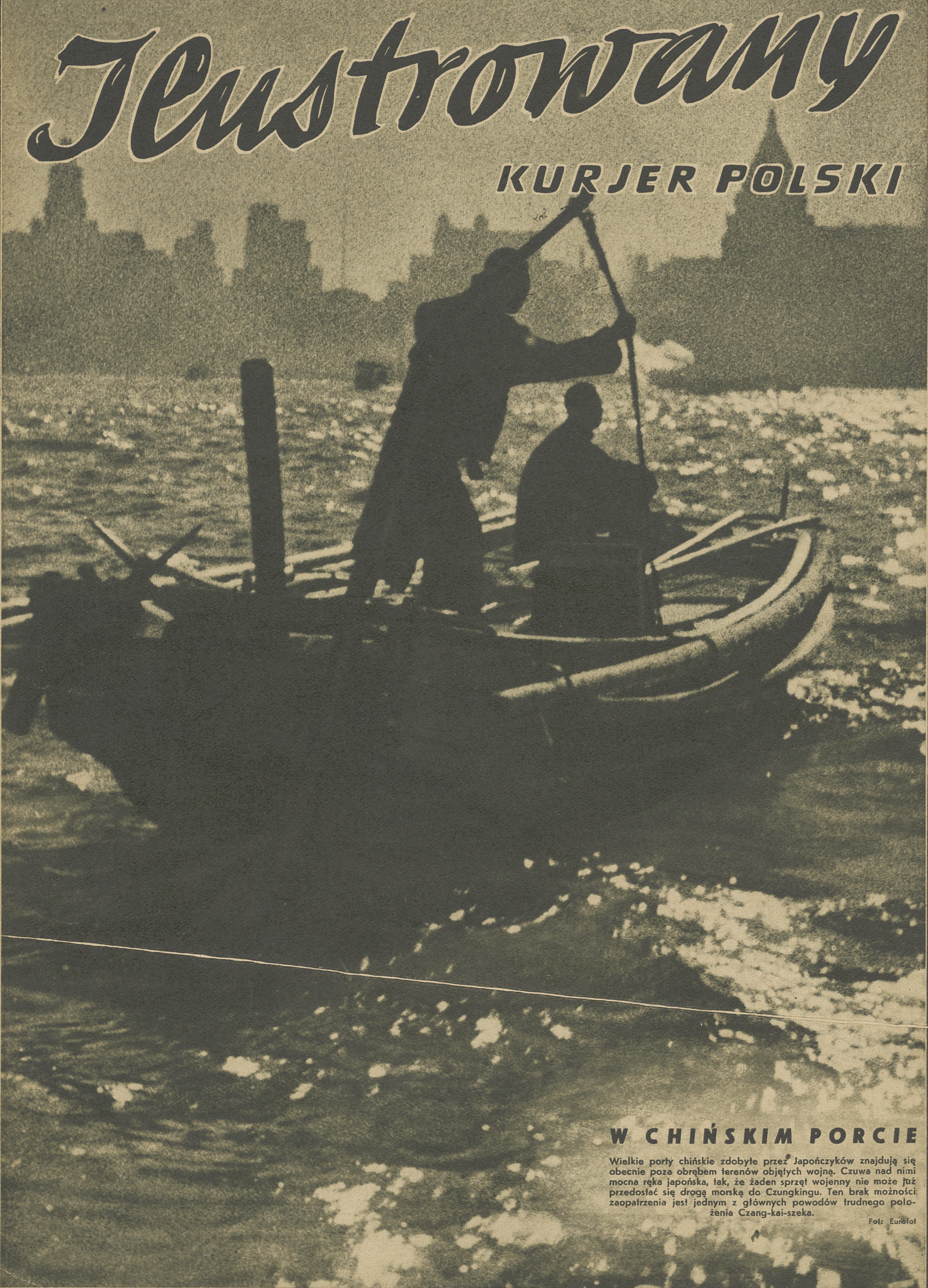
Nr. 26 Rok 4 Kraków, dnia 27 czerwca 1943. 40 gr.

Ilustrowany KURJER POLSKI

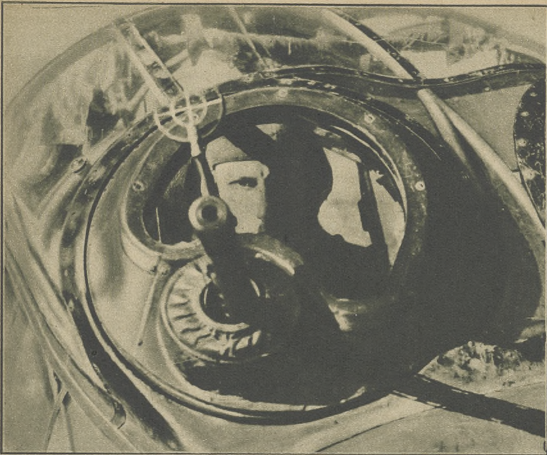


W CHIŃSKIM PORCIE

Wielkie porty chińskie zdobyte przez Japończyków znajdują się obecnie poza obrębem terenów objętych wojną. Czuwa nad nimi mocna ręka japońska, tak, że żaden sprzęt wojenny nie może już przedostać się drogą morską do Czungkingu. Ten brak możności zaopatrzenia jest jednym z głównych powodów trudnego położenia Czang-kai-szeka.

Fot: Eurofot

LOTNICY WALCZĄ



Na lewo:

PRZY KARABINIE MASZYNOWYM

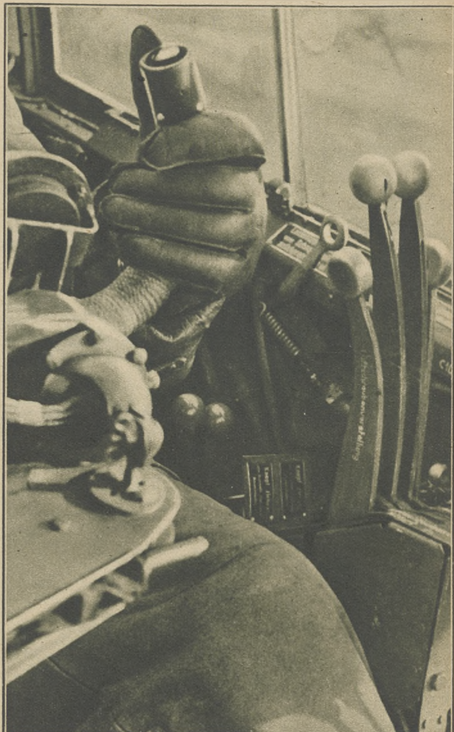
Podobne do olbrzymiego oka okienko kabiny, w której znajduje się karabin maszynowy. Przez okno to obserwuje lotnik nieprzyjacielskie samoloty, by zaatakować je w odpowiednim momencie.

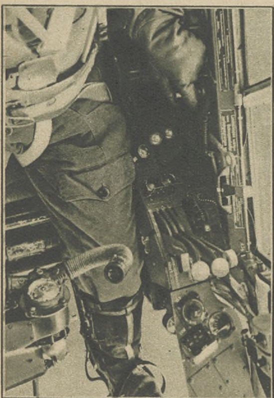
U dołu:

STO PRZEŁĄCZNIKÓW A JEDEN CZŁOWIEK

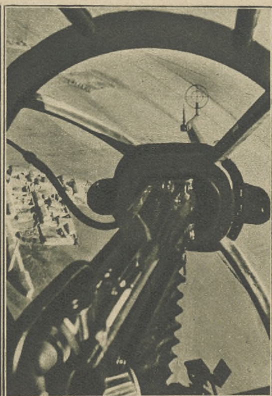
Nie tylko wielka odwaga cechuje niemieckiego lotnika, lecz także duże wykształcenie fachowe. Musi on orientować się dobrze i pewnie w wielu dźwigniach i przełącznikach całej maszynerii kierującej samolotem.

Fot: PK. Müller-Pächl-PBZ, Rösch-Jacobi-Atl., Seeger-Sch.

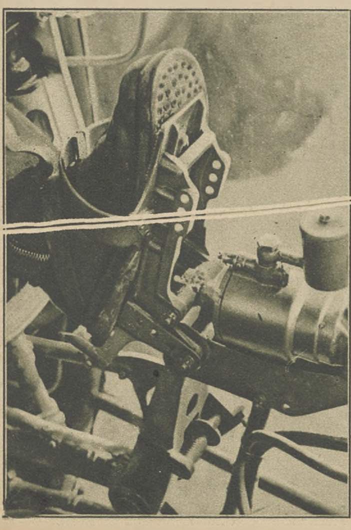




Zaopatrzony w spadochron siedzi pilot przy sterze swego samolotu. W czasie kierowania maszyną nie może ani na moment spuścić oka z podziałki manometru.



Karabin maszynowy niemieckiego bombowca. Zdjęcie dokonane w czasie lotu nad nieprzyjacielskim terytorium. Przez okienko kabiny widać wyraźnie miasteczko.



Na lewo:
Niektóre przyrządy obsługuje lotnik nogami.



Powyżej:
Niemieckie samoloty wywiadowcze lecą nad obszarami nieprzyjacielskimi.





WYŁAWIACZE MIN

U góry:
Flotylla wyławiaczy min wyjeżdża na morze z portu znajdującego się u północnych wybrzeży Atlantyku. — Na lewo: Łodzie dotarły już na teren min. Dla zaznaczenia tego faktu marynarz wrzuca boje do wody.

U dołu: Wyławiacze min przygotowane do drogi czekają w porcie na rozkaz do wyprawy.

Fot: PK Engel-Sch., Vidua-PBZ, Taureg-Atl.





Gdy tylko kapryśne słońce ukaże się nad Warszawą, mają tramwaje miejskie nielada trud: wszystkich amatorów „Słońca, Wody i Powietrza" przetransportować nad brzegi Wisły. Symbol Warszawy — Syrena — jest nie tylko doskonałym tłem fotograficznym lecz i duchowym odzwierciedleniem mieszkanek grodu. Ich „syreni śpiew" oszałamia i uwodzi w całym mieście, lecz najsilniej działa na plaży i w wodzie. Pod tym podświadomym wpływem ta „gorsza połowa" naszego rodu staje się Odysseuszem, lecz nie





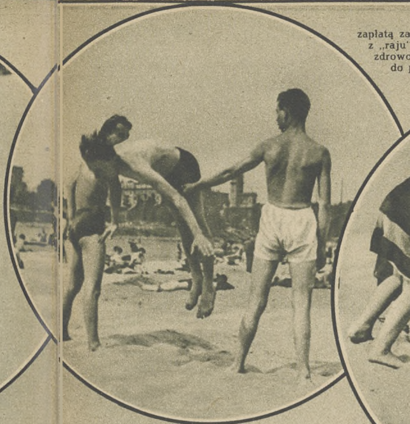
o tak mitycznym ideale, wprost przeciwnie, każdy uwydatnia zalety swego ciała, by możliwie jaknajszybciej zawrzeć znajomość z upatrzoną praprawnuczką Syreny. Już po krótkim czasie widzimy liczne skutki tych starań i bohaterskie piersi „Odysseuszy" są „udekorowane" główkami różnokolorowych „białogłów" służąc im jako poduszki przy opalaniu się. Być opalonym!!! To najgłośniejszy krzyk sezonu letniej mody.

Wisła w tym roku okazała się bardzo szczodrobliwą, wydając duzo łach piaskowych — raj plażowiczów. — Ten raj jest najwięcej zbliżonym do ideału. W urzędowo nakazanych „listkach figowych" ludek warszawski spędza cały dzień. Wśród amatorów wycieczek w „nieznane" mają kajaki i żaglówki duże powodzenie. „Tramwaj", tak zwany statek holujący barki, jest z utęsknieniem wypatrywany przez wygodnisiów kajakowców, którzy chmarami uczepiają się go i na „gapę" łaskawie pozwalają ciągnąć się w górę rzeki.

Najwięcej kłopotów sprawia dziatwa rodzicom, nie licząc trudności zabrania całego dziennego ekwipunku, na co nieraz dziecinny wózek nie wystarczy, stale uważać muszą na bezpieczeństwo i zadawalać wzrastające zachcianki. „MAMMMA! ce loda!!! a przy lodach „ogonek".

„Obwarzanki waniliowe, na języczek i na zdrowie!!!" też dziatwę kuszą, a przejeżdżająca żaglówka lub statek wprowadza w istny szał przyszłych żeglarzy. Nie jeden ojciec musi być „baranem" i dosłownie pozwolić chodzić po swej głowie swemu bòbasowi, by odwrócić jego uwagę od nieosiągalnej zachcianki. Śmiejące oczy dziecka są rodzicom najlepszą zapłatą za poniesione trudy. — Niestety, zachodzące słońce wygania ludzi z „raju" — wracają z żalem, że tak szybko minął czas, lecz wchłonięte zdrowodajne promienie i wrażenia dają Radość Życia i nowy zapas sił do pracy na przyszły tydzień.

Bil — Warszawa









Fot. Bil P.
Borek 2

Syreny nad Wisłą

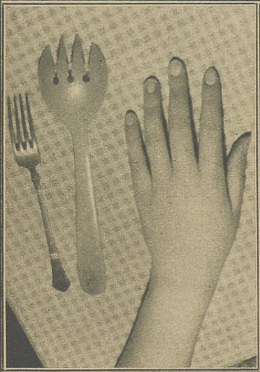


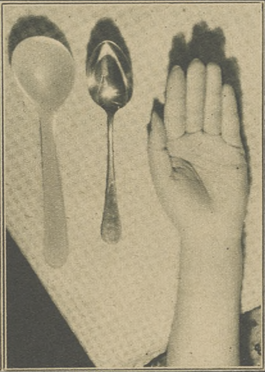






TU JUŻ NIE TRUDNO ODGADNĄC O CO CHODZI
Budowa oka i obiektywu w aparacie fotograficznym jest identyczna. Tu i tam soczewka, tu i tam „blenda”, obraz na siatkówce i na błonie światłoczułej. A więc: zasada ta sama najzupełniej.





CZY TRUDNO DOPATRZEC SIĘ PODOBIEŃSTWA!
Dzisiejszy kształt powszechnie używanego widelca odbiegł znacznie od dawnej formy tego sprzętu nakrycia stołu. W każdym razie podobieństwo obu do dłoni jest uderzające.

CZYŻ ZNOWU NIE TA SAMA HISTORIA!
Wewnętrzna strona dłoni i nasza poczciwa łyżka stołowa, czy nie nasuwają analogii pochodnych form!

TECHNIKA NAŚLADOWNICTWEM NATURY

Zegar świata w biegu swych wskazówek zaznaczył już dwudziesty wiek nowej ery ludzkości, wydzwoniwszy niemal dwa tysiące lat temu godzinę zmierzchu i skonu dawnych dziejów, odbiegłych na zawsze w mroki przeszłości.

Ludzkość idzie wciąż naprzód szlakiem przeznaczeń swoich, od zarania swych dni zdobywając z mozolnym, wytrwałym uporem szańce nowego Jutra, bastiony tajemnic przyrody, mury poznania...

I ta ludzkość krocząca od jakże dawnych czasów drogami nieustannego doskonalenia się i postępu — tak bardzo niepodobna już dzisiaj do antenatów swoich z epoki chociaż by kamiennej, — zachowała po dzisiejsze dnie pewne zasadnicze formy swego kulturalnego dorobku w dziedzinie wynalazków, formy podpatrzone w naturze, w otaczającym ją świecie, znalezione inteligencją stworzeń rozumnych na arenie swych zmagań o byt, o ułatwienie i udogodnienie życia.

Rosnące wciąż potrzeby i wymagania człowieka, kazały mu w otaczającej go przyrodzie szukać kształtów najbardziej zbliżonych do jego przemyśliwanych, pomocniczych przedmiotów, mających znaleźć codzienne zastosowanie w jego żmudnej pracy istnienia. I takie surowe formy znalazł on w naturze.

Ongiś, przemierzając bezmiary zamarzniętych rzek i jezior za poszukiwaniem zdobyczy, ułatwił sobie długie wędrówki po lodowych taflach, wiążąc do nóg swych gładkie kości zwierzęce — najpierwsze łyżwy ludzkości, stopniowo udoskonalane w dalszych epokach. Obrobione prymitywnymi narzędziami konary drzew, do tego samego celu służące, to zaczątek dzisiejszych sań i nart. Co było ich odpowiednikiem w przyrodzie? Odłamany konar, jakiś szkielet zwierzęcy, sunący w podmuchach wichru po lodowym zwierciadle wód. Latem, gdy ruszyły wody, czyż obserwacja nie była znowu przydatną do zrobienia wynalazku?

Kawał odpadłej kory, olbrzymi jakiś liść, unoszony wartkim prądem w dal, oto prawrozy pierwszej tratwy, potem niezgrabnego czółna i łodzi. Kształt tych ostatnich począł się z formy żyjących w wodach ryb, wyposażenie „techniczne” już wtedy na nich się oparło. Ogon rybi — to ster u łodzi, płetwy zagarniające wodę, to wiosła. Czyż nie uderzająca analogia?

Pokarm swój, z kolosalnym nieraz trudem zdobyty, by ochronić od owadów i zniszczenia, począł składać w wielkie muszle i skorupy z orzechów, czyniąc z nich następnie misy, z których jadł, — będące bezwątpienia najstarszymi talerzami i kubkami człowieczego plemienia.

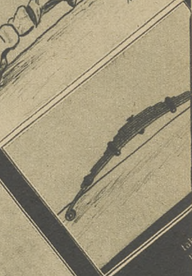
Cień drzewa, zmieniający wciąż swój kierunek z biegiem tarczy słonecznej, oto chyba nie bez słuszności najstarszy zegar słoneczny ludzkości. Potem zastąpił go, w wiekach cywilizacji naturalnie, pręt i tarcza z cyframi, znaczącymi godziny dnia, za rzutem cienia.

Ale wyrosły na łonie przyrody człowiek, choć dumny z panowania nad wszelkim stworzeniem, pan i król ziemi, przecież dalej powracał myślą i inteligencją swoją do natury, odkrywając w niej dalej wzory do swych wynalazków i ulepszeń swoich wytworów. Pancerz żółwia, owa twarda pokrywa kostna ziemno-wodnego gada, czyż nie była pierwowzorem tarczy dawnego wojownika i rycerza epoki średniowiecza? Śniły się marzycielom dawnych wieków górne szlaki orłów, promienny mit ludzkości o podboju powietrza stał się wreszcie rzeczywistością. Dedal i Ikar — stali się realizmem naszych dni. Jakimiż drogami szły studia pierwszych pionierów lotnictwa? Spojrzeć tylko wypada na szkice i techniczne wykresy chociażby Leonarda da Vinci. Oparł się na studiowaniu zasady lotu ptaków i dał technicznie tak wspaniałe wyniki swych badań — że współczesna awiatyka chyli czoła przed jego geniuszem. Samolot ma tedy swój prawzór w naturze. — Skręcone w kształt spirali włoskowate a sprężyste wyrostki, uginające się pod naciskiem upadającego ziarna, czyż to nie wzory sprężyn amortyzujących wstrząsy? A „pasy powietrzne ratunkowe” u ziarenek nadwodnych roślin (np. kosaciec), czy powietrzna otoczka podskorupowa u orzechów kokosowych, dlatego nie tonących i daleko wędrujących morzem ku odosobnionym wysepkom koralowym, czy też nie są wzorem dla ratowniczych przyrządów wodnych? A taki świetlik świętojański, czy nie posiada technicznie doskonałego przyrządu świetlnego? Znowu ogólna zasada budowy ta sama, co w wynalazku ludzkim. Warstwa przeźroczystej chityny, to szkło zewnętrzne lampy reflektorowej. Dalej warstwa fosforyzująca, to żarówka niby, i na spodzie wreszcie drobne, mikroskopijne, kryształki wapna odbijające światło, to wypolerowane przecież w ludzkim wynalazku zwierciadło reflektorowe.

Stef. Krasiński

Fot: Dillan
Dr. O. Nowak



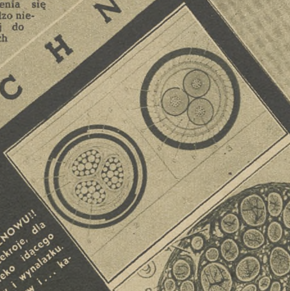


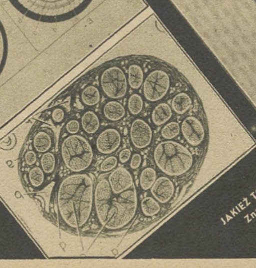
MOŻE TO NIE JEST INTERESUJĄCE!
Technicznie rzecz biorąc, resorowa sprężyna i układ kości stopy człowieka, są takie same.



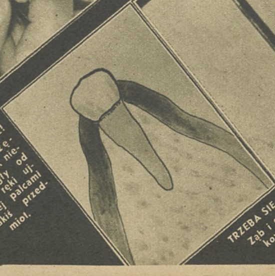


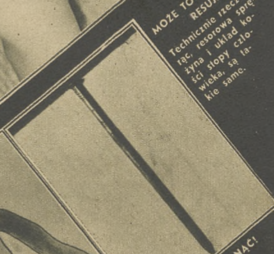
JAKIEŻ TO BARDZO PODOBNE!
Znane wszystkim narzędzie — obcęgi, tak niedaleko odbiegły od prawzoru, ręki ujmującej palcami jakiś przedmiot.





A CÓŻ TO JEST ZNOWU!!
To tylko dwa przekroje, dla uzmysłowienia daleko idącego podobieństwa: natury i wynalazku. Widzimy w przecięciu nerw i ... kabel elektryczny.





TRZEBA SIĘ UWAŻNIE PRZYGLĄDNAĆ!
Ząb i gwóźdź, umocowane jednakowo mocno, w podłożu, podobnie przyjmują działanie siły napierającej z góry.

4-ty ciąg dalszy

M.A. HESSEL

METEORY



Zupełnie niespodziewanie pewnego dnia szwagier Joe uczynił pod jej adresem niedwuznaczną aluzję... Nastąpiła krótka, lecz bardzo bolesna utarczka słowna pomiędzy Joe i tamtymi dwojgiem — Leną i Staszkiem — i Joe postanowiła natychmiast wyjechać, znacznie wcześniej, niż zamierzała poprzednio, nie chcąc już w ogóle widzieć się z Robertem.

Lecz właśnie na drugi dzień los zetknął ich oboje przypadkowo w pobliskim powiatowym miasteczku, dokąd Joe pojechała załatwić Lenie pewne sprawunki.

Serce Joe zabiło mocno, gdy go ujrzała. Przez kilka sekund odczuwała w głowie chaos i nie mogła żadną miarą uporządkować myśli. I w ogóle nie była zadowolona, że się spotkali. Po źle przespanej, a na pół przepłakanej z winy szwagra nocy wyglądała — jak ogół kobiet — niezbyt korzystnie.

Lecz Robert zaraz podszedł do niej i zapytał, czy może jej towarzyszyć.

...i rozmawiali dużo, dużo, — o wszystkim i o niczym. Robert był wesoły, dowcipny, zalotny, uwielbiający i szczęśliwy. Mówił też o niej . . o Klarze! przyjaźnie, pobłażliwie, życzliwie, solidnie. Śmiał się, uroczo jak zawsze i na zapytanie Joanny absolutnie nie „umiał" odpowiedzieć, czy i kiedy się wreszcie ożeni. Lawirował, zaczepiał, niedomawiał, to znowuż prowokował, by za chwilę zaprzeczyć swoim własnym słowom.

Joe słuchała. I poczęło się dziać z nią coś dziwnego, zupełnie przeciwnego jej naturze: porwał ją ślepy, szalony — nie ból, ale gniew. Wtulone w zarękawek przed chłodem listopadowym ręce zaciskały się przez moment...

Lecz gniew ten rozwiał się natychmiast, jak popiół porwany wiatrem. W miejsce jego Joe poczuła coraz wyraźniejszą pustkę. Potem czczość. Potem — niesmak! Wreszcie ponad to wszystko wyłoniła się z duszy jej wesołość. Humor porwał Joannę ..

Ale wszak „Allach dał mowę człowiekowi, by mógł taić swe myśli" — pouczają święte wersety Koranu. Figlarny chochlik w porę szepnął jej na ucho to przypomnienie.

I Joe poczęła mówić. Nigdy jeszcze w słowach jej nie było tyle uczucia, tyle oddania, zachwytu. Ale wewnątrz siebie miała już kompletny, niczym niezmącony spokój. Objął ją całą, jak kojące ciepłe powietrze. Nie było potrzeby — na szczęście! — znów walczyć, zdobywać i... tracić! Po prostu tym razem nie opłacało się. Joe pojęła raz jeszcze, że ma najgłębszą słuszność, nie wierząc w nic i nie czekając już na nic.

— Znowu miał przelecieć koło mnie meteor?!...

Ciche, mądre, nieustępliwe: „nie"!! Więcej: na dnie duszy poczęła kiełkować wzgarda.

— Czegoż chciał? Do czego dążył? Na czym zależało mu? Która była w nim — Klara czy Joanna? Obie, czy żadna? Jeżeli obie, dla jednej z nich chciał być meteorem, jeżeli żadna — dla obu postanowił być meteorem...

...a ja pragnę słońca! słońca! słońca!! — myślała w nocy Joe, podłożywszy obie ręce pod głowę i wsłuchując się zachwytnie w szum lasu za domem.

Pociąg odchodził przed piątą rano. Spakowane walizki czekały cierpliwie na krzesłach. Joe nie spała. Nie próbowała nawet zasnąć. Wiedziała dobrze, że nie zaśnie.

Przed oczyma jej duszy wykwitła nagle w mrokach, jak srebrno-tęczowy słup, przecudna wizja.

Joe podniosła się na łóżku.

W mgnieniu oka talent jej, zgaszony przeżyciami i długotrwałą niemocą, strzelił w górę, jak płomień pochodni, z nagła obficie podsycony. Ciche światło zalało pokój. Joe chwyciła ołówki, papier i oto w głuchą przedzimową noc czarne kreski tworzyły na białej powierzchni najistotniejsze marzenie jej życia.

Widziała tuż przed sobą cudnie piękną, ubóstwianą do granic bluźnierstwa postać mężczyzny. Nie był to ani Wacław, ani Ernest, ani Robert, nie był też żadnym z tych, którzy w jakiejkolwiek formie byli przed nimi, lub po nich... Nawet podobni do „Niego" nie byli! „On" — to było niewcielone dotąd złudzenie, marzenie pieszczone duszą, które — Joe wiedziała już — nigdy, nigdy nie wcieli się w żyjący kształt. Pozostać miał na zawsze w jej duszy, wspaniały! Bez skazy! I nigdy meteory nie zgaszą blasku tego słońca, którego pragnienie żyło w niej!

Pragnienie?

— Nie, to już nie było pragnienie: wszystko, co żyło w niej teraz, przedtem i kiedykolwiek modliło się teraz oto, w tę noc, ołówkiem — o wymarzone szczęście. Rozdzierały papier spontaniczne, dynamiczne, oszalałe PACIERZE. W tych „Pacierzach" zamknęło się wszystko, co niewyładowane tkwiło w duszy Joe, to wszystko, do czego była zdolna, a czego nikt dotąd nie umiał z niej dla siebie wydobyć. Tylko „On" posiadał te uczucia, on jeden jedyny, istniejący wyłącznie — i na zawsze już! — w pragnieniach Joanny.

A potem jęły powstawać jeden za drugim najlepsze i najpiękniejsze prace Joe. Drobne, większe i mniejsze szkice, rysunki, obrazki — tuszem, atramentem, ołowkiem, węglem, kredkami, jak się dało.

Robert przydał się bardzo. Był prawdziwie opatrznościowym mężem dla talentu Joe. Talent ten bowiem potrzebował tylko ladajakiej, najbłahszej podniety, otrzymał ją — i płynął teraz nieprzerwanie, bystro, jak woda długo więziona tamą.

Joe pracowała dużo, całymi dniami, często w nocy.

Robert był raz w mieście (przejeżdżał w sprawach służbowych). Spotkała go. Nie tylko powitała serdecznie i była taka, jak ostatnio, ale nawet dedykowała mu z wdzięcznością kilka swych prac. Rada popisywała się przed nim swoją umiejętnością, jak elegancką bogatą krewną...

Teka pęczniała i rosła od papieru — a dusza Joanny od cudnej, najczystszej radości.

Często, o, tak! często przychodziły na nią chwile dojmującego smutku. Ogarniał ją bezmierny żal za przeszłością, za wszystkim, co raz odszedłszy — nie wraca, raz zginąwszy — już nie zmartwychwstaje. Ale nie była to szarpanina, ani walka. Była to głucha, śmiertelna rezygnacja. W tych to chwilach powstał cudowny „Październik" i przejmująca „Śmierć kwiatów".

Często przychodziły jej na pamięć słowa Anny, wypowiedziane w jedną z tych odległych nocy, gdy cicho szlochała w męce, a Anna — nie śpiąc cały czas — przemówiła wreszcie:

— Nie płacz Joe, bo szkoda łez i zdrowia! Było, minęło, skończyło się, przeszło. Trudno! Nie rozpaczaj za nim, bo nie wart ani jednej twojej łzy. Nie dla takich, jak Ernest są twoje uczucia! Schowaj je dla kogo innego! Młoda jesteś i życie całe jeszcze jest przed tobą. Poznasz innego, niejednego jeszcze, godniejszego, a gdy powie ci to jedno krótkie słowo, tak bardzo ci do życia potrzebne, zapomnisz, wróci cała twoja ufność i radość. Zamiast płakać — idź szczęściu naprzeciw, bo ono samo do ciebie nie trafi!

Pamięć podsuwała Joannie te litosne słowa, jedno za drugim, jak paciorki różańca. Lecz sercem nie przyjęła ich treści ani wtedy... ani teraz... Przecież gotowa była iść szczęściu naprzeciw, ale która doń wiedzie droga? i czy nie zajdzie się gdzie indziej..

Joe pragnęła ze wszystkich sił duszy, by właśnie najprawdziwsze słońce wzeszło nad jej pustym życiem — ale nie wierzyła już, by to się stać miało kiedykolwiek. Nie umiała wierzyć. Nie mogła. Po prostu nie potrafiła.

Może podświadomie czekała — ale chłodna i cicha, jak noc za oknami...

Część druga

Cień morwy troskliwie i miękko otulał cały leżak. Gęsta zwarta zieleń nie przepuszczała w dół upału, — więc Joe czuła się bezpieczna. Wyciągnęła się na całą długość, podłożyła oba ramiona pod głowę i zapatrzyła się przed siebie w świat przestronny i szeroki, otwarty, widniejący w dali, za obramowaniem gałęzi morwowych, w błękitnawej i złotej pastelowej poświacie.

Nad pobliskim ogrodem roiły się bielinki-kapustniki, jak zapóźnione olbrzymie płatki śniegu. Atlasowe bąki śmigały wokół hucząc zawzięcie, mnóstwo kolorowych muszek krążyło w powietrzu rzęsiście, wypełniając senną popołudniową ciszę najśliczniejszą symfonią pobrzęków, dźwięczeń i drgań. Na różowej dalii usiadł nieprawdopodobnie kolorowy motyl, chwiał się na niej przez chwilę, trzepotał, okrążył ją barwnym wesołym łukiem — i poniósł się bliżej ku Joannie, niemal musnął w locie jej włosy, i poleciał znów ku dalszym krzewom, w których przepadł wreszcie.

Joanna nie odczuwała ani zachwytu ani radości. Nie czuła się dobrze. Dusza jej przechodziła jakieś przedziwne metamorfozy i staczała walki niewiadomo z którym światem: z tym zewnętrznym, który ją otaczał, czy też z wewnętrznym, swym własnym.

Zapatrzona biernie, jakby w jakimś wielkim zmęczeniu, myślała, myślała wciąż, od szeregu dni, od tygodni, właściwie od miesięcy już całych...

O czym? — O wszystkim! O swym sierocym dzieciństwie, o rodzinnym dramacie, o swym tragicznym małżeństwie, o przebolesnym życiowym epizodzie, któremu na imię było Ernest, o Robercie i o tym, że mimo upływu lat, tam, u niego nic się z Klarą nie zmieniło — ale najwięcej, najwięcej (jednak!) o . . Stefanie!

Myślała o nim coraz częściej, właściwie bez przerwy, wbrew swojej woli. W dzień narzucał się jej myślom, w nocy snom. Otoczył ją całą jak pająk siecią, wziął na własność, zadawał gwałt jej postanowieniom, nastawieniom i uczuciom.

Z pół ironicznym i gorzkim uśmiechem patrzyła w tych chwilach przedziwnych na złotą obrączkę na swej ręce — znak, że gdy Stefan wróci, będzie należeć do niego.

Czy wróci?

Pamiętała swą uwagę cierpką i pełną sarkazmu: „doprawdy, ciekawa jestem, czy istotnie przyjedzie pan do mnie?" Odpowiedział jej wówczas: „Oczywiście, może się zdarzyć, że nie przyjadę — jeżeli nie będę żył..."

Dwa lata prawie oddzielały ją od tych słów, a one przebrzmieć nie chciały. Jak muchy wracały natrętnie i pchały się do uszu, krążyły koło nich wciąż i wciąż. Ironia i gorycz narastały w niej wówczas do granic bólu, a jednak mimo wszystko nie potrafiły zabić uczucia słodyczy i ulgi. I wtedy właśnie ogarniał ją największy gniew... i największy żal... i trwoga... — gdy wbrew własnej woli, na przekór własnym niezłomnym i żelaznym duchowym nakazom—poczęła tęsknić za nim i pragnąć... by wrócił.

Po raz setny chyba wracała myślami do owego dnia, gdy poznała go. Był luty. Olbrzymie opady śnieżne zatarasowały ulice i pokryły dachy. Całe dni i noce śnieg sypał na ziemię ogromnymi płatkami. Wiatr i mróz czyniły tę zimę ostrą czasami nie do wytrzymania.

W jeden z takich dni Joanna wracała przed wieczorem o zmierzchu już, do domu. Przystanęła przed drzwiami, by otrzepać śnieg z płaszcza i czapki. I wówczas posłyszała za drzwiami obcy męski głos. Anna rozmawiała z kimś. Joe nie otworzyła drzwi sama, lecz schowawszy klucze z powrotem do torebki, zapukała delikatnie. Anna otworzyła w tej chwili — i na oścież.

— Jesteś nareszcie! Masz gościa! Pan czeka tu na ciebie już może ze dwie godziny.

Joe weszła. Z krzesła podniósł się na jej widok młody kruczowłosy mężczyzna. Uderzyły w nią natychmiast spojrzeniem ciemne oczy, ciche, aksamitne i połyskliwe. Ucałował jej rękę.

— Przywiozłem list od pani Gizeli i w jej imię polecam się łaskowym względom pani.

Podał jej zamkniętą kopertę.

— Państwo pozwolą? — poprosiła Joe Annę i młodego człowieka, ujmując list.

— Alez proszę, Joe, nie przeszkadzaj sobie! — rzekła Anna. Mężczyzna ukłonił się tylko w milczeniu.

Gizela była daleką krewną Joanny, ale zaprzyjaźnioną z nią i zżytą bardzo serdecznie. Prosiła w liście o pomoc dla jednego z przyjaciół swego męża. Potrzebował poparcia w sferach, w których Joe miała wielkie wpływy.

Podczas gdy Joe czytała list Gizeli, tak jak była, w czapeczce jeszcze i płaszczu, Anna spojrzała przelotnie na gościa: bez drgnienia powiek patrzył w różową od mrozu i emocji twarz Joanny i kaskadę jasnych włosów, wymykających się niesfornie na czoło spod czarnej futrzanej czapeczki.

Joe skończyła czytać. Złożyła list i zwróciła się do młodego mężczyzny.

— Zrobię wszystko, co potrafię. Może pan być zupełnie pewnym, że wszystko pójdzie po pańskiej myśli.

Uśmiechnęła się do niego. Podziękował, powtórnie pocałował w rękę — i zerwał się pomóc przy zdejmowaniu płaszcza. Joe usiadła na tapczanie i poczęła gawędzić z gościem, wypytując o Gizelę, jej męża, rodzinę. Stefan wkrótce wpadł w dobry humor. Przy herbacie, którą Anna podała niedługo z uwagi na mróz, rozmawiali już jak starzy znajomi. Zabawiał panie opowiadaniem wspomnień ze swych lat studenckich i przeróżnych młodzieńczych przygód. Przez cały czas Joe obserwowała go nieznacznie.

Nie był piękny. Średniego wzrostu, szeroki, rozrośnięty, silny, był wcieleniem młodości, bujnego zdrowia i najprawdziwszej męskości. Twarz duża, smagła, pociągła, nos długi i prosty, zdecydowany, usta dość duże i grube, zmysłowe, połyskujące ładnymi, śnieżno-białymi zębami, zdrowymi jak u młodego psa. Największą ozdobą tej twarzy były oczy. Spod kruczoczarnych długich rzęs patrzyły wesoło, śmiało i zalotnie, czasami powłóczyście i szelmowsko, spopod prostych i silnych, czarnych jak smoła brwi, zrośniętych nad nosem. Wystarczyło spojrzeć w te brwi, by zgadnąć, że biada człowiekowi, który spowoduje ich zmarszczenie. W ogóle robił wrażenie człowieka, któremu lepiej schodzić z drogi. Zresztą, poza tymi brwiami i prawie groźną dolną szczęką, wyglądał dobrodusznie, bardzo miło, niemal łagodnie. Śmiał się wesoło, gdy tylko miał z czego, a przychwyciwszy spojrzenie Joanny na swoich zębach (spojrzenie przychylne) śmiał się już potem wciąż, nawet bez powodu.

I Anna i Joe zauważyły, że gościowi niesporo coś odejść, choć czas był po temu. Wreszcie począł się żegnać. Umówili się raz jeszcze na dzień następny, Stefan pożegnał panie ukłonem i ucałowaniem w rękę. Joe odwiodła go do drzwi (Anna domyślnie nie ruszyła się z miejsca, by gościowi sprawić przyjemność...), z progu raz jeszcze utopił miękkie oczy w jasnych źrenicach Joanny — i odszedł.

Całą resztę wieczoru przemilczały. Anna uśmiechała się tylko. Joe odzywała się nieledwie półsłówkami. Zdjął ją smutek bolesny i dławiący. Przypomniała sobie, jak w tym samym pokoju rozbrzmiewał śmiech Ernesta i połyskiwały jego cudne zęby. Potem przypomniał się jej urzekający uśmiech Roberta i jego oczy jasne, badawcze, rozelśnione i przytulne. Jakiś dziwny chłód przebiegł jej przez plecy. Otrząsnęła się. W jej cichy świat wdarła się znowu zaczepna, tryumfująca męskość i dotknęła nieopatrznie zabliźniających się dopiero ran. Zabolało...

Joe dłużej niż zwykle modliła się, siedząc w pościeli z twarzą ukrytą w dłoniach.

Nazajutrz poszli razem. Wszystko załatwiono nadspodziewanie pomyślnie. Młody człowiek cieszył się i śmiał, Joe była również zadowolona, że mogła się mu przysłużyć. Wśród stokrotnych przepraszań zaprosił obie panie do kinoteatru, na wspaniałą — jak twierdził — komedię francuską.

Joe wyszła z kina tak roześmiana i wesoła, że Anna wręcz poczęła dziękować Stefanowi za to, że ją rozruszał. Zapytał panie — wykorzystując okazję — czy pozwolą mu jutro odwiedzić się raz jeszcze. Na kilka dni wyjeżdżał do siostry, zamieszkującej gdzieś w pobliskiej okolicy, a potem w drodze powrotnej miał przyjść tylko raz, pożegnać się, zabrać list i ewentualne zlecenia do Gizeli. Joe zgodziła się na jego przyjście, ale niestety popołudniu była zajęta i musiała wyjść. Wobec tego Stefan ofiarował się tylko, że ją odprowadzi na miejsce.

Przybył o wiele wcześniej, niż się umówili. Joe jednak była już ubrana, więc Stefan zaproponował, by — jeżeli Joe nie ma nic przeciwko temu — wyszli wcześniej i powolnym spacerem zaszli na miejsce przeznaczenia, gdyż wiatr ustał prawie zupełnie i mróz zelżał.

Po chwili wyszli.

Powietrze było istotnie łagodniejsze i spokojne. Wokół wszystko ucichło. Tylko śnieg bezszelestnie sypał... i sypał... Szli plantami, ustrojonymi w najcudniejsze zimowe koronki. Joe spoglądała na ośnieżone czuby drzew, na świerki iskrzące się miliardem przemisternych ozdób. Ją samą płatki obsiadły, tuląc się do jej rzęs, warg i wplatając się we włosy.

— Cudnie musi wyglądać las w śniegu! — rzekła.

Stefan, spoglądający na nią bez przerwy, oderwał oczy od jej zaróżowionej twarzy i począł nimi toczyć w krąg.

— Cudnie! Nie widziała pani?

Z cyklu: Sonety tatrzańskie.

Cisza nad Morskim Okiem

O, jaka cisza! szept krwi po żyłach słychać
I wieczności granie na skał dzikich harfie;
Plusk cichy wód Morskiego Oka o skarpy,
Jakby pacierzy szept zaklętego Mnicha.

Toń czarna. Góry w niej swe kamienne twarze,
Otuliwszy sobie liliowych mgieł kwefem,
W odbiciu kąpią. Czasem wiatr swym oddechem
Wodę zamąci — cudne zjawisko zamaże.

Oto jest cisza cisz, co się z Gór łona
Podnosi... i sieje czarami wokoło,
Kolorów tęczowych promiennym odbłyskiem.

Ale, kiedy chmur groźnych czarna opona
Otoczy dumnych turni kamienne czoło —
Zanika nagle w wód toni — zjawisko...

Tadeusz Komorowski

— Nie jeszcze! To znaczy . . . w Zakopanem . . . widziałam, ale chciałabym w zimie być, żyć po prostu w lesie!

— Kocha pani wieś?

— Szalenie! Ach, marzę o tym, by kiedyś mieć na wsi swój dom, maleńki domek, chociażby trzy pokoiki w nim.

— Domek? — Stefan uważnie patrzył pod swoje nogi, jakby tam znagła dostrzegł coś bardzo interesującego. — Po cóż domek? Może pani mieć dwór!

— Och, toby było cudowne! Ale któż da mi dwór?

— Ja! — rzekł spokojnie.

Joanna roześmiała się głośno.

— Dla mnie to zamało! Muszę jeszcze mieć ogród!

— Jest i ogród. Nawet nie jeden . . .

— Ooo! może cała wieś?

— Owszem.

— Ja jestem zachłanna! — przekomarzała się Joanna. Muszę mieć las!

— Ależ jest! Przeszło pięćset hektarów.

Joannę ogarnęła niepohamowana wesołość.

— Nooo . . . do tego wszystkiego m u s i (!) być auto. Inaczej się nie zgadzam . . .

— Jest, proszę pani. Tym autem przyjadę z kolegami — po panią!

— . . . by mi to wszystko pokazać?

— . . . by pani dać! Wszystko, cokolwiek posiadam i kiedykolwiek będę posiadał, już dziś do pani należy, jeżeli pani się na to zgodzi!

— O! — zdziwiła się Joe — hojny pan jest, panie Stefanie! A czegóż pan wzamian żąda ode mnie za tak wspaniałe prezenty.

— Niczego od pani nie żądam! Czegóż mogę żądać?

— No, w każdym razie tego, bym panu wierzyła, nieprawdaż? — mówiła zwolna, słowo za słowem, z niewypowiedzianym szyderstwem.

— Niczego nie żądam! Nawet tego, by mi pani wierzyła! Życie samo najlepiej panią przekona!

Joanna umilkła. Gniew jej wyczerpał się tak nagle, jak nagle przypłynął. Uspokoiła się. Przez kilka minut nie odzywała się zupełnie. Ale myśli jej przyczaiły się i skupiły teraz, zebrały w sobie jak do skoku. Czujnoś i ostrożność opanowały wszystkie jej zmysły i uczucia.

— Więc miłość od pierwszego wejrzenia, tak? I ja mam w to wierzyć?

— Nie musi pani! Ja też nie uwierzyłbym trzy dni temu, gdyby we mnie chciano wmówić, a teraz . . .

— . . . teraz co?

— Wiem, że jestem śmieszny, ale dla mnie jest pani najpiękniejszą kobietą na świecie!

— No, dobrze! ale ja pana przecież zupenie nie znam! — wybuchnęła wreszcie Joe.

— Ja wiem, że pani nie może mnie kochać! Ale postaram się by mnie pani pokochała! Jeżeli mi się to nie uda, będę szczęśliwy, jeżeli pani zechce mnie tolerować.

W Joannie zbudziła się nagle kobieta, po prostu tylko kobieta, młoda i wesoła, przyzwyczajona do męskich gorących słów, lubiąca się podobać i chcąca się kosztem mężczyzny niewinnie zabawić. Oczy jej, rozgwieżdżone nagle i roześmiane, utonęły w aksamitnych oczach Stefana, a usta jej uśmiechały się kusząco i zaczepnie wprost w jego wargi, nagle znieruchomiałe i zastygłe w rozchyleniu.

— Niech się pan strzeże, panie Stefanie! Co będzie, jeżeli zgodzę się i zechcę trzymać za słowo??

Nim miała czas pomyśleć, co się dzieje, błyskawicznie pochylił głowę i wtulił usta gorąco i wytrwale w jej rękę.

— Dziękuję pani! — Głos jego był dziwnie przytłumiony, cichy, drgający. Niebezpieczne brwi rozpływały się po czole, jak jaskółki, a oczy zmiękły jak dwie jedwabne szmatki.

Joe patrzyła w te oczy, jak urzeczona, straciwszy kompletnie kontenans. Ręka jej biernie poddała się obydwom dłoniom mężczyzny.

A potem znów poszli dalej i Joe milczała — milczała — milczała . . . A Stefan nagle wyprężył ramiona w śnieżną zamieć w górze i zawołał: — Czemuż nie można teraz śpiewać, na tych plantach!?

Rozweselił się najwidoczniej. Coś mówił, ale Joe nie słyszała nawet jego słów, pogrążona w zaskoczeniu.

Wreszcie wydobyła z siebie:

— Doprawdy, ciekawa jestem, czy istotnie przyjedzie pan po mnie . . .

— Oczywiście, może się zdarzyć, że nie przyjadę — jeżeli nie będę żył!

Szła dalej w milczeniu. Wreszcie zatrzymała się.

— Tutaj!

— Żegnam panią, panno Joe! Do widzenia! Za trzy dni . . . (Panno Joe!? prawda! przecież on nic nie wie . . . — myślała Joanna). Podała mu rękę. Sam wziął sobie drugą i kryjąc je w swych ciepłych rękach, wtulał usta w powierzchnie i wnętrza jej dłoni. Patrzyła mu w oczy z powagą i spokojem, długo i uważnie, bez zażenowania i bez lęku. Wówczas stwierdziła ponad wszelką wątpliwość, że oczy te są naprawdę wyjątkowo piękne.

— Wygląda pani, jak królewna Śnieżka! — mówił patrząc i patrząc w nią uporczywie. W cieniu nadbiegłych chmur oczy jej wydały mu się szafirowe i wielkie, jak drogie kamienie. Powiedział jej to, naprzód . . . oczami, a potem ubrał to w niezręczne i nieśmiałe słowa. Patrzyła pieściwie w jego ogromne czarne rzęsy i w te oczy brylantowe, aksamitne, miękkie, oczy wiernego pokornego psa. Jeszcze coś chciał powiedzieć, ale z ostatnim uśmiechem kiwnęła mu dłonią i odeszła.

Ciąg dalszy nastąpi

CUDA FAKIRÓW

W tłumnych i hałaśliwych bazarach, w tajemniczych gajach, na ziejących żarem i gryzących kurzem drogach, podczas fanatycznych uroczystości ludowych w górach, lasach i dżungli, wśród ruin, u podnóża olbrzymich kamiennych bóstw bramińskich — wszędzie wyrasta jogi, częściej fakir, gnany z miejsca na miejsce siłą przyzwyczajenia, czy może jakiegoś wewnątrz niego działającego fatum. Najczęściej napół nagi, upudrowany popiołem, o świecących kocich źrenicach i niechlujnym zaroście. Jest zawsze cichy i litości godny, a wzbudzający wyglądem swym abominację i lęk, choć jednocześnie i zaciekawienie, graniczące z wiarą w jego dziwną moc.

Tacy fakirzy i jogowie — wszyscy szanowani są i czczeni za wyrzeczenie się dóbr tego świata, samoudręczenie i ascezę, za dobrowolne oddanie się życiu pokutniczemu, za tajemniczą moc „cudotwórczości" — za świętość, współżycie duchowe z bogami, za zjednoczenie się z nieskończonością.

Już przed wystąpieniem na scenę literatury europejskiej słynnego pisarza hinduskiego, Rabindranala Tagore, wieści z „kraju cudów" przenikały do zmaterializowanej, praktycznej Europy. Ostatnimi jednak laty zainteresowanie tamtejszym światem wzrosło. Rozbudziła się namiętność widza europejskiego do tajemniczości i potrzeba zanurzenia w oszałamiającej kąpieli narkotyku wschodniego. Przyjrzyjmy się tedy owym „cudom i cudotwórcom" możliwie obiektywnie.

Jogowie i fakirzy — to niby wielcy jubilerzy i mali uliczni sprzedawcy szlifowanych, błyszczących szkiełek; to pokutnicy i zbierający chciwie grosze zręczni kuglarze. Pierwsi dochodzą do godności cudotwórców przez uciążliwe i długotrwałe ćwiczenia, oddalenie się od świata złudy i jak powiada nauka bramanów, przez złączenie duszy swojej z duchem wszechświata. Drudzy uczą się tylko popularnych sztuczek, polegających na zręcznym oszustwie, pomagając sobie w tym procederze hipnotyzmem, sugestią lub mediumizmem, osłaniając się równocześnie autorytetem „cudu", unoszącym się jak ciężki opar ponad tym krajem Wschodu. Dlatego też prawdziwy jogi posiada większą „wiedzę cudotwórczą" niż przeciętny fakir, ale cudów nie czyni, nie popularyzuje, o ile w grę nie wchodzi misjonarska potrzeba ratowania duszy zbłąkanej.

Tak wygląda podział na jogów i fakirów teoretycznie. Życie wytwarza jednak typy pośrednie. Znawca Wschodu, Cesar v. Vesme twierdzi, że jogowie są uczniami szkoły tajemnej, posiadającej 3 stopnie wtajemniczenia: do pierwszego stopnia należą „Gribastos", pośrednicy między ludem a stanem kapłańskim; drugi stopień obejmuje zaklinaczy duchów i wróżbitów, a wreszcie godność trzeciego stopnia piastują t. zw. „Samnyassiniryani" nie mający bezpośredniej styczności z ludem i wiodący życie ściśle pustelnicze. Podział ten jednak jest więcej przypuszczeniem autora, niż odpowiada rzeczywistości. Jak w każdym zawodzie, tak i w tym — są majstrowie i partacze, a w zależności od osobistych cech charakteru — ludzie uczciwi i szalbierze.

Fakirzy posiadają przy sobie tylko czarki gruszkowate lub woreczki na dary. Całe ich „uzbrojenie" fachowe przedstawia pałeczka bambusowa z siedmioma sęczkami (symboliczna pałeczka kuglarza na pierwszej karcie staroegipskiego „Tarota"). Trudne byłoby wyliczanie demonstrowanych przez fakirów sztuk kuglarskich. Na podkreślenie zasługują następujące: cud drzewa Mango, cud z powrozem, pogrzebanie żywcem, materializacje, dematerializacje, jasnowidzenie, powstawanie zagadkowych dźwięków instrumentowych, lewitacje przedmiotów i samych fakirów, przechodzenie przez ogień i odporność na obrażenia zewnętrzne.

Cud drzewa Mango polega na tym, że fakir powoduje natychmiastowe wyrastanie rośliny z ziarna. Fakir zwilża ziemię wodą i wyciągając ramiona nad doniczką, mruczy swoje „mantram" (specjalna modlitwa). Do przygotowanej tak doniczki z ziemią wkłada następnie ziarno, wtyka swoją pałeczkę i na niej zawiesza białe, podane mu prześcieradło. Wyciągając znów ponad doniczką ręce, eksperymentator zapada powoli w sen kataleptyczny, z którego budzi się po 2 godzinach i unosi prześcieradło. W tym czasie w doniczce wyrosła roślina wysokości około 20 centymetrów. Na temat tego cudu istnieje wiele demaskujących opowieści, których dla braku miejsca podać nie możemy.

A oto sztuka „cudownego powroza". Na publicznym placu siada fakir i podrzuca wysoko w górę zwiniętą linkę, która jakoby jednym końcem zaczepiała się gdzieś o jakiś niewidzialny hak w powietrzu. Drugi jej koniec opada ku ziemi. Po lince na rozkaz fakira wspina się chłopiec i niknie. Po chwili fakir wzywa go, aby zszedł — ale nadaremnie. Wtedy rozgniewany fakir wchodzi za nim po tejże lince z nożem w ręku. Słychać krzyk w powietrzu i z góry zaczynają spadać poszczególne członki chłopca: okrwawione nogi, ręce, głowa itd. Fakir schodzi następnie na dół, zbiera kawałki w worek, później potrząsa nim, mamrocząc jakieś zaklęcia i ku największemu zdumieniu widzów, chłopiec wyskakuje z worka żywy. Co do tego „cudu" jednak istnieją bardzo niepewne opisy i zawsze ktoś wie o nim z opowiadania innych. W wyczerpującym studium dr. Hugo Schoenbrunn podaje, że wprawdzie widział ze swoimi przyjaciółmi ten cud, jednak klisza aparatu fotograficznego nie chwyciła nic prócz fakira i widzów. Spostrzeżenia innych uczonych, potraktowane trzeźwo i krytycznie, pozwalają przypuszczać, że ma się tu do czynienia z objawami sugestii tłumu.

Tak zwany „Five Walk" — czyli nieszkodliwe chodzenie po rozpalonych węglach, kamieniach itp. zetknięcia z ogniem, jak dotykanie rozpalonych sztab żelaznych, branie ich do ust — należy poniekąd do rzędu ceremonij religijnych, jakkolwiek dość często bywa demonstrowany przez sztukmistrzów. Istnieje wiele potwierdzeń tego eksperymentu, a niektórym z nich trudno odmówić wiarygodności. Na pierwszy plan przy badaniu tych eksperymentów z ogniem występuje sprawa utraty czucia, a następnie osłabionej siły ognia. Nie są to bowiem już halucynacje, sugestie itp. figle sztukmistrzów, lecz fakty rzeczywiste, zbadane i przypuszczalnie polegające na obniżeniu nieznaną nam bliżej drogą — wrażliwości na ból.

Niektórzy z fakirów każą się zakopywać do ziemi na czas dłuższy i mimo braku dopływu powietrza nie ulegają śmierci. Fakir Haridas, zwany „świętym mężem" — kazał się zakopywać kilkakrotnie w ciągu swego życia. Ostatni eksperyment urządził tuż przed obecną wojną na dworze maharadży Randżita Singha w Lahore. Przygotowanie tego fakira do owego występu trwało 20 dni, podczas których pił tylko mleko, stosując jednocześnie środki czyszczące w takiej ilości, żeby nic nie pozostawało w jelitach. Przy ceremonii asystowali wszyscy dostojnicy dworu. Haridas pozalepiał sobie wreszcie wszystkie otwory ciała woskiem i ustami zaczął wciągać oddech do wnętrza. Po kilkakrotnym tego rodzaju odetchnięciu padł i leżał z zamkniętymi oczami jak trup. Wreszcie objawy trupa stały się widoczne, tylko czubek głowy był niebywale gorący i tylko tam pulsowała krew z wielkim natężeniem. W tym stanie włożono fakira do trumny, przymocowano wieko i zaniesiono do domu, w którym już poprzednio wykopano grób.

Na trumnie położono deski, zasypano ją ziemią, zrównano powierzchnię mogiły, oraz posiano pszenicę i ryż. Drzwi domu zamknięto 2 kluczami. Systematycznie później kontrolowano stan grobu. Dnia 40-go rozkopano mogiłę, otwarto trumnę i po pewnych czynnościach przywrócono fakira do życia.

Nasuwa się pytanie, w jaki sposób ciało może istnieć przez tak długi czas bez dostępu powietrza. Otóż badacze tego faktu przypuszczają, że pewne minimum powietrza, potrzebne do oddychania uśpionego organizmu przedostać się zawsze może przez porowatą powłokę świeżej mogiły i komunikacja taka, jak wiadomo z badań nad powierzchnią gleby, ustala się w miarę postępu czasu. Poza tym natura dostarcza nam

Dokończenie na stronie 10-tej

ZE SCEN WARSZAWY

MASKA: „BUCHALTERIA MIŁOŚCI"

Grana przed wojną w Warszawie i ciesząca się dużym powodzeniem komedia „Podwójna buchalteria" po dużej przeróbce wystawiona została w „Masce" pt. „Buchalteria miłości". Udanej na ogół przeróbki, dokonała H. Rapacka, wplatając w tekst wiele humoru słownego i sytuacyjnego. Akcja tej komedyjki toczy się wartko, nie ma w niej niepotrzebnych dłużyzn, widz z zaciekawieniem śledzi pomysłowy rozwój akcji i bawi się doskonale. A o to przecież głównie dziś chodzi.

Jeżeli idzie o obsadę i grę w komedii, to oprócz powierzenia nieodpowiedniej roli Tadeuszowi Zakrzewskiemu, nie mam żadnych zastrzeżeń. Reżyser Zdzitowiecki kazał zagrać Zakrzewskiemu rolę zupełnie nie odpowiadającą jego możliwościom aktorskim. Owszem, zachwycaliśmy się jedwabistym barytonem Kosa, ale sama gra wypadła blado; powiedziałbym, że Zakrzewski jest do tej roli za ciężki i za sztywny. (Wydaje mi się, że na Zbyszku Rakowieckim rola Kosa leżałaby jak ulał.)

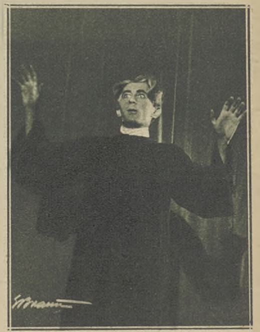
Lucyna Szczepańska jako Lola Śliczniakowska była urocza, czarowała nas swym słowiczym głosem i osobistym wdziękiem. Bardzo przekonywująco rolę lotnej kosmetyczki Zuzi zagrała Nina Czerska. Gdyby wszystkie kosmetyczki były tak miłe jak Czerska, to klienci (t. zn. rodzaju męskiego) kupowaliby pudry, kremy i lakiery na funty.

Nie ciekawą rolę otrzymał Andrzej Szalawski. Ale jest to aktor bardzo zdolny i kulturalny, to też potrafił rolę Stefana Burczyńskiego zagrać przekonywująco dając jej męskość i wdzięk. Dużo szczerego humoru wnieśli do komedii: Zarembina i Morozowicz (państwo Śliczniakowscy), Chmielewski (Burczyński senior) i Borowy (woźny). Za „Polkę — groteskę" huczne i zasłużone brawa otrzymali Marynowska i Borkowski oraz 9-letnia tancereczka Lili Skrzypkówna.

NOWOŚCI: „CO SIĘ KOMU ŚNI" („SPEŁNIONE SNY")

Na ogół dyrekcje teatrzyków uważają, iż w sezonie letnim nie warto „wysilać" się na zmontowanie dobrej rewii. Innego zupełnie zdania jest kierownik artystyczny i reżyser „Nowości" p. Orlym, który twierdzi, że na sezon kanikuły teatralnej trzeba wystawiać rewie o dużych wartościach artystycznych. Taka też jest i ostatnia rewia, której wystawienie pociągnęło za sobą b. duże koszty; ale publiczność warszawska potrafi to w należyty sposób ocenić (na widowni zawsze pełno).

Gwoździem, a raczej gwoźdźmi programu, są inscenizacje baletowe układu Feliksa Parnella. Ten najlepszy z naszych baletmistrzów i tancerzy ma to do siebie, że tańce jego mają w sobie subiektywizm gry aktorskiej i poezję jednocześnie, jakiś niewysłowiony czar, który na długo pozostaje w pamięci widza jako wielkie przeżycie artystyczne. Wielu jest tancerzy wysokiej klasy ale takich artystów-tancerzy jak Parnell trudno jest dziś znaleźć.



Tymoteusz Orlym recytuje piękny wiersz „Modlitwa dziecka" w teatrze „Nowości".

Również w samych superlatywach tylko, trzeba się wyrażać o L. Abli i E. Beuderze. Tej wspaniałej pary śpiewaków pozazdrościć mogą „Nowościom" wielkie sceny za granicą.

Skecze oparte są na nowych, nieszablonowych pomysłach i mają dobrą obsadę w osobach: Wolskiej, Żukowej, Dymszy i Łuszczewskiego. W programie jedna tylko recytacja („Modlitwa dziecka") pióra i w wykonaniu T. Orlyma. Nazwisko autora i recytatora mówi samo za siebie. Dymsza daje aktualne i dowcipne kuplety Odrowążowe.

Przyjemną oprawę muzyczną do rewii dał i orkiestrą dyrygował kompozytor Z. Wiehler, piękne dekoracje malował St. Lipski, a konferansjerkę prowadził T. Orlym.

Rewia ma zapewnione powodzenie.

Z. Bakula



Wspaniała inscenizacja baletowa tańców góralskich z Dymiszkiewicz, Parnellem, Maciaszczykiem i Kilińskim na czele wykonawców w teatrze „Nowości".

Fot. Braun

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Pilsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900

pewnego rozwiązania przez analogię snu zimowego niektórych zwierząt, nie mówiąc już o roślinach. Analogiczne zjawiska zdarzają się również wśród ludzi, którzy pogrzebani przez niedopatrzenie, powstać mogą z grobów po przetrwaniu snu letargicznego, o ile ich nie przysypano ziemią. Zjawiska śmierci w tym wypadku powodowane są stanem zaniku świadomości.

Niewątpliwie tkwi w tym tajemnica, ale nie tajemnica jakiegoś cudu, lecz tajemnica fizjologiczna, dla której wejścia w świat usystematyzowanej wiedzy nadejdzie może niebawem szczęśliwa chwila. W każdym razie, mamy przed sobą alternatywę: albo „cuda" fakirów leżą w sferze naturalnych możliwości, to jest nie przeczą prawom natury i jako takie mogą być zrozumiane przez dokładne ich studiowanie, albo są to mniej lub więcej udatne mistyfikacje.

Jeden z współczesnych nam hipnotyzerów hinduskich, Vairogyanda, pisze: „Wszystkie te cuda fakirów dadzą się sprowadzić do faktu, że operator wyszkolił przedtem wolę swoją i później był w stanie publiczności, przyglądającej się mu z powstrzymanym oddechem zasugestionować widzenie niezwykłych zjawisk. — Okoliczność zaś, że przy wykonywaniu sztuk kuglarskich publiczność składa się z poszczególnych jednostek; które to samo myślą i tego samego czekają — wytwarza w każdym wypadku potężny prąd psychozy w znacznej mierze ułatwiający prace fakirom".

I. W.

Siod se baca stary...

Siod se baca stary
haniok przy sałasie
i poziero ino,
jak sie kierdel pasie
na syrokiej holi;
jako watra trzasko,
a co go doleci
piosnecko juhasko
i to turlikanie
zwonków na ubocy —
to jaz sie uśmiecho,
jaze mruzy ocy! ...

E K.

KLAUDIA I LUCJUSZ

Klaudia skinęła ręką i słodkie tony cytry umilkły nagle.

— Dosyć, Panakratesie — rzekła zwracając się do niewolnika — możesz już odejść. Chcę teraz zostać sama.

Młody Grek wstał z małego krzesełka i schyliwszy głowę w pełnym szacunku ukłonie wyszedł z atrium.

Klaudia podniosła oczy.

Bladobłękitne niebo wiszące nad kwadratowym otworem przesycone było ognistymi brzaskami zachodzącego słońca. Białe alabastrowe kolumny zdawały się płonąć jakimś różowym wewnętrznym płomieniem, a piękne artystyczne mozaiki iskrzyły się tysiącem różnokolorowych ogników. Cicho pluskała fontanna w środku impluvium, a rosnące na brzegach sadzawki żółte lilie wodne pachniały mocno.

Młoda rzymianka bawiąc się złotą, wysadzaną szmaragdami branzoletą podeszła wolno w stronę tablinum. Odchyliła ciężką kotarę i spojrzała przez długi perystyl na ogród, który tonął teraz w czerwonych promieniach chylącego się ku zachodowi słońca.

Klaudia nudziła się.

Z niecierpliwością oczekiwała zapadnięcia nocy, chwili, w której razem z fioletowym mrokiem zjawi się nareszcie tak bardzo oczekiwany Lucjusz — najdroższy jej kochanek. Bogowie tylko wiedzą, ile trudności musiała dzisiaj zwalczyć, ile sprytu okazać, aby wykręcić się od uczty w domu cezara, na którą została zaproszona wraz ze swym mężem Korneliuszem.

Kiedy nareszcie Korneliusz oszukany zręcznie zaimprowizowanym na poczekaniu bólem głowy, udał się sam na ucztę, przed Klaudią wyrosły nowe trudne zadania, mające na celu zamaskowanie spotkania z Lucjuszem. Tylko nielicznej służbie, wiernym i oddanym swej pani niewolnikom można było zaufać. Reszty należało się pozbyć. Dużą przysługę oddał swej pani Panakrates przez swoje energiczne zarządzenia. Klaudia wiedziała, że na tym młodym Greku może zawsze polegać. Chłopiec był zakochanym do szaleństwa w Klaudii, a beznadziejne uczucie miłości z każdym dniem potęgowało się w piersi młodego niewolnika i tylko wątła i bardzo krucha tama, jaką stanowiła świadomość różnicy klasowej, powstrzymywała chwilowo może, wezbrane tęsknotą potężne jak ocean uczucie Panakratesa.

Powoli, krok za krokiem szła Klaudia przez perystyl do ogrodu zapatrzona w gasnące złocisto-purpurowe refleksy. Powietrze przesycone było tysiącem mocnych zapachów od delikatnych woni fiołków, aż do intensywnie silnego aromatu róż białych, purpurowych i żółtych. Smukłe cyprysy i małe drzewka mirtowe stały dumne, niby strażnicy tego zaczarowanego ogrodu.

Młoda kobieta poprawiła szpilkę podtrzymującą splot kruczych włosów, a potem wygładziła starannie białe fałdy peplum. Gdzieś z triclinium dochodziły odległe ciche dźwięki cytry. To Panakrates głosił całemu światu swą wielką miłość, w której nie ma ani cienia nadziei ...

— Carissima!

Klaudia krzyknęła i odwróciła się.

— Przestraszyłeś mnie, Lucjuszu ... — rzekła z prześlicznym rumieńcem na twarzy. — Mogłam przecież stracić przytomność z wrażenia ...

— Nie, Klaudio droga; przytomność traci się tylko w chwilach pełnych bezbrzeżnej rozpaczy i smutku, albo też wtedy, gdy serce przepojone jest ogromną radością, która nie chce się pomieścić w tak ciasnej świątyni, jaką jest serce. Radość podobnie jak wielki ból przyprawia nas o gwałtowne i niespodziewane reakcje ...

— No więc sam mówisz Lucjuszu, że można stracić przytomność ze szczęścia ... A przecież to twoje niespodziewane wtargnięcie do mego ogrodu mogło mnie kosztować bardzo wiele ...

— Czyżbyś tak bardzo pragnęła mojego przybycia, Klaudio?

— Ty wiesz przecież sam o tym, Lucjuszu ...

Młodzieniec wziął rękę Klaudii i zaczął okrywać ją pocałunkami.

— O boska! Spraw, ażeby długie godziny tęsknoty znikły raz na zawsze ... Nie mogę czekać, jak nędzny niewolnik, aż raczysz mi poświęcić jeden zaledwie wieczór zamiast dni wypełnionych szczęściem i długich rozkoszą tchnących nocy ... Zaprawdę, w bardziej szczęśliwym położeniu są twoi niewolnicy, którzy cię mogą widzieć dziesiątki razy dziennie, podczas gdy ja muszę uciekać się do różnych środków, aby ujrzeć moją Venus! Czy nie widzisz, Klaudio, że spalam się w gorączce oczekiwania, w płomieniach ogromnej miłości, a ty wyznaczasz mi łaskawie jeden tylko wieczór!

— Zrozum to, Lucjuszu, że nie mam sposobu, aby uwolnić się od tego ohydnego i lubieżnego starca, którego złe bogi wyznaczyły mi na męża. Wiesz chyba, jak bardzo zazdrosnym jest Korneliusz i jak stale mnie śledzi, przeczuwając, że szukam tego szczęścia, którego ten stary satyr nie jest w stanie dać mi ...

— Ach, Korneliusz! — syknął przez zaciśnięte zęby Lucjusz. — Gdyby nie to, że nagłe zniknięcie jego, jako jednego z najbardziej szanowanych senatorów wywołałoby w całym mieście niepotrzebny rozgłos i mogłoby stać się dla ciebie powodem różnego rodzaju przykrości, to już dawno wyprawiłbym go do Hadesu!

Klaudia cofnęła się.

— Mówisz to poważnie, Lucjuszu? — spytała przerażona.

— Tak, carissima! Całkiem poważnie ... Kiedy pomyślę, że twe boskie usta, twe najpiękniejsze wargi są całowane przez tego zgrzybiałego starucha, gdy stajesz przed moimi oczyma tak piękna, jak sama Venus rodząca się z piany, i gdy pomyślę, że twe białe ciało brudzą wiecznie spocone ręce Korneliusza, — to mimo woli dłonie moje same zaciskają się i w takich chwilach zdolny jestem do popełnienia największego szaleństwa!

Na białe policzki Klaudii wypłynął purpurowy rumieniec oburzenia.

— Wierz mi, najdroższy, że te pocałunki Korneliusza przyprawiają mnie zaprawdę o torsje. Nic jednak nie mogę na to poradzić. Jest przecież moim mężem, dał mi wszystko, bogactwo, dobrobyt, poważanie ...

— Ale nie dał ci szczęścia! A to jest najważniejsze ...

— Tak, masz rację, Lucjuszu. Nie dał mi szczęścia ...

Umilkli, i przytuleni do siebie szli wolno przez tonący w liliowym mroku ogród, po wysypanych żółtym, skrzypiącym pod sandałami piaskiem ścieżkach. Lucjusz przycisnął mocniej ramię Klaudii, a młoda kobieta szła z przymkniętymi oczyma, jakby zdając się śnić jakiś cudowny sen, i wierząc, że przy boku Lucjusza nie spotka ją nic złego.

Nagle Lucjusz stanął i począł namiętnie całować usta, czoło i szyję Klaudii. Oszołomiona żywiołowymi pocałunkami Klaudia, nie broniła się wcale i nie uczyniła najmniejszego sprzeciwu w chwili, gdy Lucjusz podniósł ją ze ziemi i zaczął iść spiesznie w stronę perystylu. Białe peplum rozluźniło się i młody rzymianin ujrzał przy srebrzystym świetle wschodzącego księżyca nagie, przepiękne piersi Klaudii.

— Kocham cię boska ... Szaleję z miłości o najpiękniejsza z pięknych! Kochaj mnie Klaudio ... — powtarzał z oczyma, które przesłaniała mgła namiętności.

A ona zarzuciła swe białe ramiona na szyję Lucjusza i przywarła ustami do jego spieczonych warg.

Złączeni w miłosnym, upojnym uścisku, podobni do jakiejś rzeźby, do przepięknych białych posągów, nie zwrócili najmniejszej uwagi na to, że zza alabastrowej kolumny patrzą na nich przesłonięte bezbrzeżną rozpaczą i smutkiem ciemne oczy Panakratesa.

Złociste promienie słońca zbudziły najpierw Lucjusza. Młodzieniec spojrzał na leżącą obok niego Klaudię i mimo woli przez usta jego przewinął się lekki, pogodny uśmiech. Nachylił się nad kochanką i delikatnie musnął jej wargi w przelotnym pocałunku. Klaudia otwarła szeroko czarne, o pięknej oprawie oczy i wyciągnąwszy ramię objęła szyję Lucjusza, przyciągając go do siebie.

W takiej, pełnej najczulszej pieszczoty pozie zastał ich Korneliusz, który korzystając z tego, iż służba jeszcze spała, bezszelestnie, jak kot wśliznął się do cubiculum.

— Pokłon tobie, moja piękna małżonko i tobie Lucjuszu, wybrańcu bogów — zaskrzeczał nagle podchodząc bliżej. — Czy nie przeszkadzam? ...

Dwie głowy odskoczyły w jednej chwili od siebie. Klaudia patrzyła przerażona na męża. Korneliusz był pijany. Zataczał się i wodził przekrwawionymi oczami po twarzach kochanków.

— Ładnie zaczynacie dzień ... nieprawdaż? Poświęcacie go Venus ... Dooobrze ... A ja też się ładnie bawiłem ... tak ... na uczcie u cezara! Pytał mi się o ciebie, Klaudio ... chora, mówię ... leży w łóżku ... Ha! ha!! Leży w łóżku! O ... tylko, że nie sama! Ha, ha, ha!!!

Chwyciła go czkawka i upadł na wysadzaną mozaiką posadzkę.

— Upp! ... O tak ... tylko ... nie sama ...

Położył się na zimnej podłodze i po chwili usnął.

Kochankowie ostrożnie zsunęli się z łóżek. Lucjusz delikatnie wziął za rękę Klaudię i przeszli obok śpiącego Korneliusza do łazienki. Klaudia nie mogła powstrzymać się od pogardliwego splunięcia, w chwili gdy omijała leżącego męża.

— Stary faun!

Zarzuciła ręce na szyję Lucjusza i przytuleni do siebie wyszli z cubiculum.

HAWI

CZTERY TEMPERAMENTY



MELANCHOLIK

Melancholia osiadła na psiej „twarzy" Zagraja
Nie dziwota, gdyż zdjęcia dokonaliśmy w maju.
Smętny Zagraj jest latem, bo z łowami leż krucho.
Nie dla niego są sarny, ani łowy z „krykuchą".
Lecz gdy jesień mgieł smętnych porozwiesza zawoje,
Wtedy Zagraj raźnieje, wtedy stanie za dwoje.
Bo to dzicza jest pora, łowów wielkich to czasy.
Wtedy ginie tęsknota, gdy powiodą go w lasy.
Melancholii zabędzie, rozpogodzi swe czoło
Na dźwięk trąbki odżyje i zaszczeka wesoło.



SANGWINIK

Hej! Za lisem! Po polach, poprzez gaje, dąbrowy
Pędzi konnych tłum jeźdźców brawurowo na łowy.
Krasą sforę fox wiedzie, aż zachrypły od krzyku.
Tutaj kozła wywrócił tam się skąpał w strumyku.
Sangwinista zajadły, aż oniemiał ze złości.
Lisa pędzi, dopędza, by zgruchotać mu kości.
Spryt'ny, pełen humoru i zajadły niezmiernie.
Sangwinista... fox krasy — oto macie go wiernie.

Tekst: Del. Fot.: Dr. Schmidt



CHOLERYK

Czy pamiętasz, człowieku? u kolebki dni twoich
Pierwszy z zwierząt szeregu u stóp twoich pies stoi...
Wilczur, dumny, zwycięski, szary jako mchy leśne
Dawno to było, dawno, lata były to wczesne.
Choleryczny w zapędach tak w miłości, jak w gniewie.
Łowił z tobą i kochał i umierał za ciebie.
Od Alaski pól białych, aż po tundry jakuckie.
Szedł za tobą i służył... najwierniejszy z sług ludzkich.



FLEGMATYK

Nic mi knieje i łowy, ja mam inne radości,
Porcja kaszy z omastą, na zakąskę zaś kości.
Dobry dowcip w kompanii, spacer z panią lub z panem
Lub znajomość na placu z jakimś miłym brytanem.
Dobrotliwość grubasa, kilka fałdek na karku,
Czasem miłość pogodna gdzie na skwerku bądź w parku.
Dla nas typów pykniczych zawsze festina lente
Ciepły pokój i tapczan miłą będą przynętą.
Głos basowy, a serce dobrotliwie nam tyka,
Oto portret buldoga, poczciwego pyknika.



Nie zawracaj mi głowy Józiu, żeś przez cały czas na plaży sam jeden na mnie czekał — a zresztą poznaję nawet profil Irki.
Münchner Illustrierte Presse

ŚWIAT SIĘ

— Czy pan wierzy w wolność woli?
— Od czasu jak się ożeniłem nie wierzę.

•

— Czy to prawda, że wyraził się pan o mnie ujemnie u naszych wspólnych znajomych, u których wszyscy mieli o mnie opinię dodatnią?
— Złośliwość, kochany panie, złośliwość. Przecież nawet nie bywam w domach, gdzie mają o panu dodatnią opinię.

•

— Jak mogłeś napisać dzieło o Indiach, nigdy tam nie będąc?
— A Dante był w piekle?

•

Szef do swego pracownika: — Draniem pan jesleś, leniem, idiotą, który na każdym kroku zapomina, że tym czym jest stał się przeze mnie.

•

Pawełek ożenił się i jest strasznie dumny ze swej żony:
— A jaka mądra! powiadam ci, rozumu ma za dwoje.
— No to w sam raz żona dla ciebie.

•

— Ale tak, drogi przyjacielu możesz mi wierzyć, że istnieje dużo młodych dziewcząt, które wcale nie chcą wychodzić zamąż.
Skądże to wiesz?
— Oświadczyłem się im.

•

— Panie łaskawy, pańskiej małżonce nic właściwie nie brakuje, ale można by się spodziewać, że mała angina się pojawi.
— Panie doktorze! Na miłość boską! Tylko nie to, przecież już mamy pięć córek!

•

On: — Popatrz przynajmniej raz jak te fale ciągle wzajemnie się całują.
Ona: — Wielka mi sztuka przecież to są coraz to inne fale.

1



Spójrz kochanie, drzewo!
Die Woche

2



Matka: — Od kogo masz te kwiaty?
Córka: — Od pewnego młodego człowieka.
— Matka: — Nie nazywaj takiego nigdy „pewnym" tak długo, dopóki się z tobą nie ożeni.

•

— Pani musi codziennie rano wypić szklankę gorącej wody.
— Czynię to, panie doktorze, — tylko moja gospodyni nazywa to kawą.

ŚMIEJE

— Opowiadano mi żeś między znajomymi utrzymywała, jakobym była już tak starą, że mogłabym być twoją matką.
— Wcale czegoś podobnego nie mówiła. Powiedziałam tylko, że jestem tak młodą, że mogłabym być twoją córką.

•

— Ten Lolek, to doprawdy bezwstydny człowiek! Pytam go gdyby mu przyszło wybierać między mną, a milionem złotych, na co by się zdecydował, powiedział, że na milion.
— Mądry chłopak. Wie naturalnie, że wtedy tym prędzej by cię zdobył.

•

— Te buty mi nie odpowiadają. Może ma pani nieco szersze?
— Tego roku nie są modne szerokie buty, tylko wąskie!
— Ależ moja pani, Wszak mam nogi jeszcze z przedzeszłego roku.

•

— Lekarstwo należy zażywać po sześć łyżeczek dziennie.
— No, tak panie doktorze, ale my mamy tylko trzy łyżeczki.

•

On: — Powiedz mi, czy ty mnie naprawdę tak kochasz jak ja ciebie.
Ona: — O nawet więcej, bo oprócz ciebie kocham także wszystko co twoje.

•

Aptekarz: — Czy ten środek przeciwko tasiemcowi ma być dla dorosłego?
Kupujący: — Skądże ja mogę wiedzieć, nie mam pojęcia, czy to młody czy stary tasiemiec.

•

— Geniu! Ty jesteś pierwszą kobietą, którą prawdziwie pokochałem.
— A ty jesteś pierwszym mężczyzną, którego blagę biorę za dobrą monetę.

•

— Dlaczegoś taka smutna Irko?
— Kocham i jestem kochaną.
— Toś właśnie powinna się cieszyć, a nie płakać.
— Tak, gdyby to był jeden i ten sam mlodzieniec w obu wypadkach.

•

— Jak się nazywa małżeństwo z jedną tylko kobietą?
— Nie wiem.
— No, przypomnij sobie mo... mo...
— Już wiem monotonia!

•

— Tak panno Anno, wobec pięknych dam tracę głowę i wtedy głupio wyglądam.
Dama: — A to dopiero z pana komplemencista.

•

— Powiedz mi kochana, dlaczego pozwalasz swemu mężowi na zażywanie tabaki? Przecież nie może ci to smakować przy całusie!
— Słusznie nie smakuje mi to wcale, ale i innym także nie.

•

— Czy oddałeś na policję znalezione losy loterii?
— Natur[illegible], zaraz po ciągnieniu.

•

— Śpij dziecino spokojnie, wezmę świecę, ale ty się nie bój, bo będzie czuwać nad tobą aniołek.
— Mamusiu, weź lepiej aniołka, a zostaw mi świecę.

•

— Jako Romeo umierałem wczoraj tak naturalnie, że jeden z widzów zemdlał.
— No?
— Mój wierzyciel.



— *Panno Myszko, pani tu coś zapomniała!*

KĄCIK KARYKATURZYSTY



W SĄDZIE
— *Czy oskarżony utrzymywał z panią niedozwolone stosunki?*
— *Nie, ja mu na to pozwalałam!*
Rys. J. Paluch — Kraków

SZACHY

KĄCIK SZACHOWY NR. 22

Problem Nr. 16

G. Anderson (Vart Hem 1937 I. nagr.).
Czarne: Ke6, Hh8, Wa6b8, Gb7, Sd5h7, piony: a5, c3, f7 (10).
Białe: Kh1, Hh5, Wd7e8, Ga4, Se4, piony: f4, e7 (8).
Mat w dwóch posunięciach.

Rozwiązanie problemu Nr. 15 (Larsen):

1. f4 I. 1 ... e×f3 2. H—a6 f2+ 3. W—d5 mat.
II. 1 ... G—f3 2. H×a6 i 3. x.
III. 1 ... G—f1 2. H×a7 i 3. x.
IV. 1 ... e3 2. H×g2 i 3. x.

Partia Nr. 21.

Białe: Dr. Aljechin i naradzający
Czarne: Bogoljubow i naradzający
grana w r. 1941 w Warszawie.
Gambit hetmana (wariant wiedeński).

1. d2—d4 Sg8—f6	11. Ke1—f1 Hc3×c4+
2. c2—c4 e7—e6	12. Kf1—g1 5) Gc8—d7? 6)
3. Sg1—f3 d7—d5	13. Wa1—c1 Hc4—a6
4. Gc1—g5 Gf8—b4+ 1)	14. Sd4×e6!! 7) f7×e6 8)
5. Sb1—c3 d5×c4	15. Wc1—c8+ Ke8—f7 9)
6. e2—e4 c7—c5 2)	16. Wc8×h8 g7×f6 10)
7. Gf1×c4 c5×d4	17. Hd1—h5+ Kf7—e7
8. Sf3×d4 Hd8—a5	18. Hh5—c5+ Ke7—f7 11)
9. Gg5×f6! 3) Gb4×c3+ 4)	19. Wh8×h7+ Kf7—g8
10. b2×c3 Ha5×c3+	20. Hc5—e7 Czarne poddały się.

UWAGI:

1) Tak zw. wariant wiedeński, którego akcje obecnie nie stoją wysoko.

2) To posunięcie okazałoby się tylko wtedy skutecznym, gdyby białe (jak to jeszcze do niedawna miało miejsce) odpowiedziały: 7. e5 c×d4 8. H—a4+ S—c6 9. 0—0—0 G—d7 10. S—e4 G—e7 11. e×f6 g×f6 12. G—h4 Wa—c8.

Posunięciem w partii powinny białe w każdym razie zapewnić sobie przewagę pozycyjną. Dlatego stosunkowo lepszym dla czarnych było teraz grać: 6 ... h6 (zamiast c5) i jeśli 7. G×f6 H×f6 8. G×c4 to c5!

3) Powstała pozycja, która była przedmiotem analizy mistrza niemieckiego Schmidta na łamach Deutsche Schachzeitung w r. 1940.

Schmidt zastosował (czarnymi) ten wariant dwukrotnie podczas Olimpiady w Buenos Aires w r. 1939. W jednej z partii przeciwnik dopuścił do ogólnej wymiany i walczył z trudnościami w końcówce, w drugiej zaś partner Schmidta grał na podwojenie wież na linii d, i osiągnął wkrótce przygniatającą przewagę, gdyż czarne nie mogły zastosować tego samego z powodu słabości piona h.

Według Eliskasesa mają czarne po [illegible] (zamiast 11 ... H×[illegible] [illegible] widoki wyrównania, chociaż i [illegible] wystarczające. Trudno przypuścić, aby [illegible] wariantu wiedeńskiego można było uważać za ukończoną. Może doczeka on się jeszcze modyfikacji.

4) Stosunkowo lepszym, choć niecałkiem zadowalającym jest 9 ... g×f6, jak to grał Schmidt w jednej partii w Buenos Aires 1939.

5) Teraz groziło zabójcze 13. W—c1, a w razie 12 ... 0—0 uzyskałyby białe przez 13. H—g4 g6 14. e5! (groził S—f5) W—e8 15. H—g5 H—e5 16. S—b5! S—d7 17. W—c1 wygraną pozycję.

Schmidt w swej analizie podaje 14. H—f4 (zamiast e5) S—d7 15. e5 S×f6 16. e×f6 K—h8 17. W—c1 H—d5 18. H—h6 W—g8 19. S—f3 H—h5 20. S—g5 po czym mat.

6) Przegrywa szybko. Po 12 ... S—d7 13. G×g7 W—g8 14. W—c1 H—a6 15. G—h6 czarne wykończyłyby się skutkiem osłabienia czarnych pól.

7) Prowadzi o wiele prędzej do celu, niż 14. S—b5, co po g×f6 15. S—c7 K—e7 16. S×a6 S×a6 17. H—h3 Wh—c8 prowadziłoby tylko do zdobycia H za 2 figury.

8) Oczywiście nie 14 ... H×e6 15. W—c8, a także nie 14 ... g×f6 15. S—c7, co byłoby wobec braku piona e6 beznadziejnym.

9) W razie 15 ... W×c8 następował mat w 4 ruchach.

10) Czarne wybierają najkrótszy rodzaj śmierci, przekonawszy się, że po 16 ... K×f6 17. H—f3 K—e5 18. h4 przewlekanie partii byłoby bezcelowym.

11) Lub 18 ... H—d6 19. W×h7 itd.

WESELE W SKUTARI



Fot. Witzleben i Peters

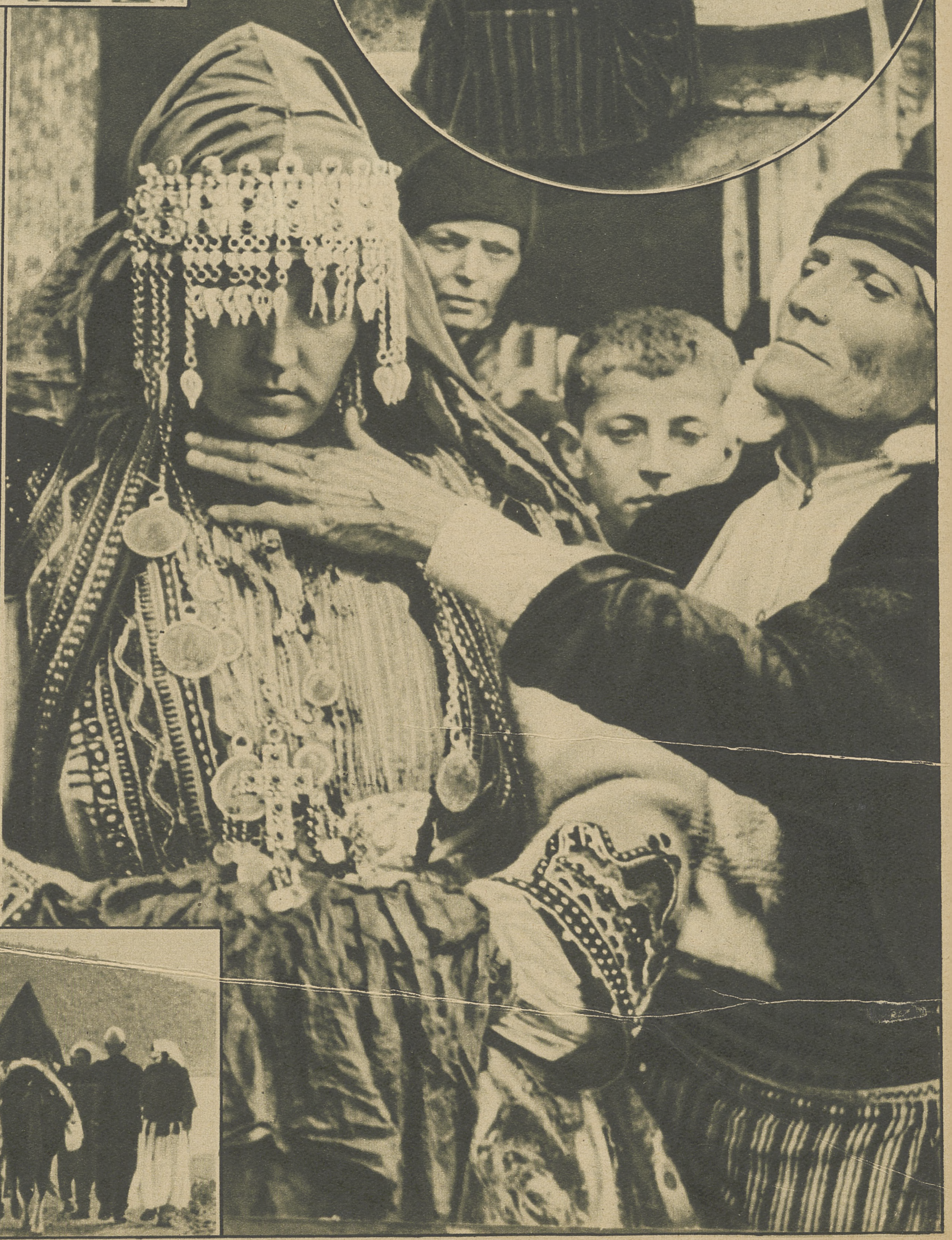


Na prawo:

W DOMU PANA MŁODEGO

Przed domem pana młodego zastawia się na odpowiednich stołach potrawy dla krewnych i zaproszonych gości. Od czwartku aż do wtorku trwają uroczystości weselne, zaś we wtorek wieczorem odbywają się tradycyjne ceremonie i zakończenie wesela.

Już we wczesnym dzieciństwie zaręczają rodzice albańscy swe dzieci. Młodzi narzeczeni zupełnie nie znają się między sobą aż do dnia wesela, które następuje po upływie kilkunastu lat od dnia zaręczyn. Pięć dni przed ślubem pości panna młoda, by zjawić się „czystą" na uroczystość weselną. Następnie krewni narzeczonego przywożą ją do domu przyszłego męża. Mały pochód jest już u celu podróży. Narzeczoną znużoną jazdą i postem podtrzymują asystujący jej krewni i zabawiają opowiadaniem o różnych figlach jej przyszłego męża z czasów dzieciństwa, o jego zaletach i czynach młodzieńczych.



Obok:

PRZED OBIEKTYWEM APARATU FOTOGRAFICZNEGO

Wreszcie spada zasłona zakrywająca twarz oblubienicy. W tym momencie fotografuje się pannę młodą. Teściowa podnosi nieco jej twarz, chcąc by dziewczyna patrzyła do aparatu. Ona jednak wie, że byłoby to wbrew zwyczajowi i opuszcza zawstydzona swój wzrok na dół.



Poniżej:

WESELNY POCHÓD

Panna młoda gęsto zawoalowana odbywa konno drogę z domu rodzicielskiego do nowej „ojczyzny", siedząc na siodle przybranym czerwonym jedwabiem. Bracia narzeczonego idą obok konia i podtrzymują ją.